Jednota

11
1964

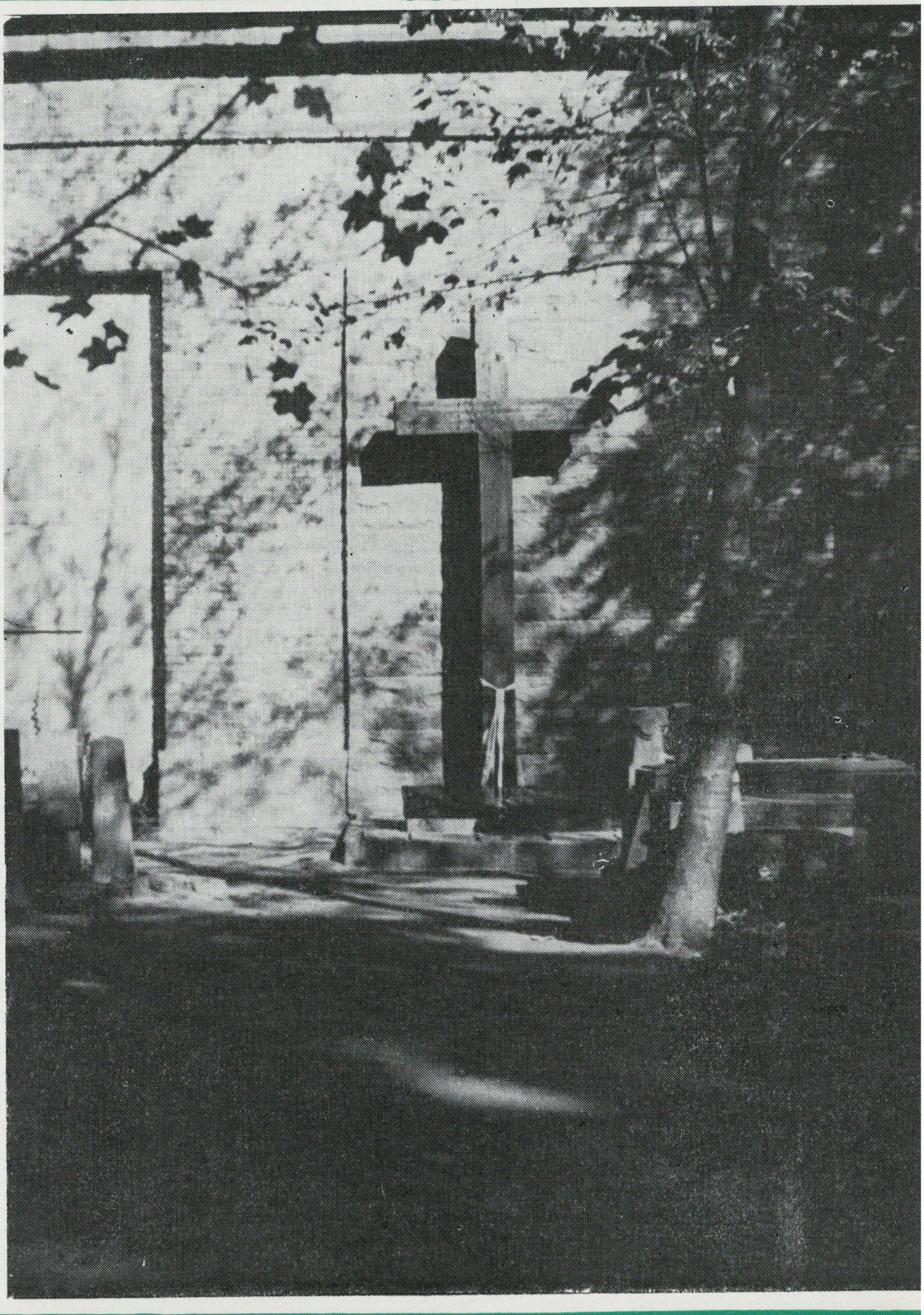

W NUMERZE M. IN.

SŁOWA i SŁOWO

SYNOD 1964

BARTŁOMIEJ BYTHNER WYBITNY POLSKI EKUMENIK W. XVII I JEGO „BRATERSKIE NAPOMNIENIE"

KATOLICYZM XX WIEKU

U WRÓT DIALOGU

DEPERSONALIZACJA ŻYCIA

RZYMSKI EKUMENIZM

PISMO RELIGIJNO - SPOŁECZNE

Krytyczne komentarze przemówiania Pawła VI

Pierwsze komentarze przemówienia papieża Pawła VI, wygłoszonego na rozpoczęcie trzeciej sesji II Soboru Watykańskiego, mają charakter bardzo powściągliwy i raczej krytyczny. Wyraźne podkreślenie znaczenia prymatu papieskiego, przełożenie punktu ciężkości na samookreślenie Kościoła rzymskokatolickiego, przy jednoczesnym żądaniu, ażeby „odłączonym braciom" przedstawić prawdziwe pojęcie hierarchicznych organów, wywołały wśród obserwatorów innych wyznań na Soborze nieprzyjemne wrażenie.

Korespondent Ewangelickiej Służby Informacyjnej z Rzymu podkreśla w swoim komentarzu, że papież w przemówieniu swoim nie mówi już o tym, co jest wspólne wszystkim wyznaniom chrześcijańskim, lecz o tym, co je dzieli. Vaticanum II nie wejdzie do historii jako sobór, którego celem było zjednoczenie chrześcijan. Kluczowym określeniem w łacińskim tekście mowy papieskiej jest wciąż powtarzające się pojęcie „sacra hierarchia". Hasło startu do III sesji soborowej jest „zamknięciem drogi pastoralnej i przejściem ku doktrynalnej".

Również obserwator z ramienia Światowej Rady Kościołów, prawosławny teolog prof. dr N. Nissiotis, mówi o rozczarowaniu, jakie sprawiła mowa inauguracyjna Pawła VI, która też jest bardziej jednoznaczna, niż przemówienie jego na rozpoczęcie II sesji. Papież mówi siedem razy o swoim prymacie, wskazując przy tym, że jest to „sobór hierarchii i prawa rzymskiego". Choć według zdania prof. Nissiotisa większość ojców Soboru a także najlepsi teolodzy rzymskokatoliccy wciąż jeszcze mają nadzieję, że Rzym otworzy nową drogę do ekumenicznej współpracy z wszystkimi chrześcijanami, to jednak ogólnie panuje obawa, że Soborowi zależy przede wszystkiem na dalszym wzmocnieniu tradycyjnej rzymskiej pozycji w sensie Vaticanum I. „Nikogo nie powinno zdziwić — podkreślił prof. Nissiotis — że inne wyznania, a w tym także prawosławie, oceniają ten kierunek bardzo krytycznie".

W podobnym tonie utrzymany jest komentarz francuskiego protestanckiego tygodnika „Réforme". I tu podkreśla się, że prymat papieski zajmuje w mowie Pawła VI centralne miejsce. „Dlaczego, pyta prof. George Richard-Molard, trzyma się papież wobec patriarchy Atenagorasa i 50 obserwatorów definicji, której ani prawosławie ani protestantyzm zaakceptować nie mogą?".

Partriarcha Aleksy w Genewie

W końcu września br. patriarcha moskiewski Aleksy złożył wizytę Światowej Radzie Kościołów w Genewie. Sekretarz Generalny dr Visser't Hooft określił go jako „wielkiego przyjaciela chrześcijańskiego ruchu zjednoczeniowego". Patriarcha był pierwszym oficjalnym gościem, który wszedł głównym portalem do, znajdującego się w końcowej fazie budowy, nowego gmachu Światowej Rady Kościołów. Po przemówieniu powitalnym Generalnego Sekretarza oraz gościa, nastąpiło udekorowanie Visser't Hoofta orderem św. Włodzimierza.

Na przyjęciu w nowym gmachu Rady Ekumenicznej wzięli udział, obok rosyjskiej delegacji i sztabu pracowników Rady Ekumenicznej, prezydent Rady Państwa w Genewie, René Helg, ambasador ZSRR Lokaczow oraz prof. teologii z Genewy Henri d'Espine. W swojej mowie powitalnej dr Visser't Hooft określił gościa, jako tego, który przez przyłączenie Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej do Rady Ekumenicznej i ustanowienie stałego przedstawicielstwa patriarchatu moskiewskiego w Genewie dopomógł do znacznego wzrostu autorytetu Światowej Rady Kościołów.

Patriarcha Aleksy przybył do Genewy z Aten, gdzie wziął udział w uroczystościach związanych ze ślubem króla greckiego z księżniczką duńską.

W kilku WIERSZACH

— Anglikański biskup Natalu Inman określił Republikę Południowo-Afrykańską jako państwo policyjne. Według ustawodawstwa tego kraju każdy obywatel może być przetrzymywany w areszcie bez wyroku sądowego do 90 dni.

*

— Katedra prawosławna św. Zofii w Nowgorodzie, zniszczona podczas ostatniej wojny, została gruntownie odrestaurowana i ze względu na historyczną i architektoniczną jej wartość udostępniona do zwiedzania.

*

— Synod Transvaalu Holenderskiego Kościoła Reformowanego udzielił wszystkim zborom misyjnym całkowitej autonomii.

*

— Nowym sekretarzem generalnym Federacji Protestanckiej we Francji wybrany został ks. Albert Nicolas, który dotąd był zatrudniony w wojskowym duszpasterstwie. Jest on następcą ks. André Appel'a, który objął stanowisko proboszcza w Strasburgu.

*

— Ponad 20 osobistości kościelnych ze stanu Mississipi (USA) utworzyło międzywyznaniowy komitet, stawiający sobie za cel udzielanie pomocy przy odbudowie kościołów murzyńskich, zniszczonych ubiegłego lata podczas rozruchów rasowych. Do komitetu należy 3 biskupów: metodystyczny, episkopalny i rzymskokatolicki, oraz duchowni i świeccy z Kościoła luterańskiego, prezbiteriańskiego i baptystycznego. Gminy żydowskie reprezentuje rabin. W stanie Mississipi zniszczono ubiegłego lata przez podłożenie ognia 24 kościoły murzyńskie.

*

— Delegowanie przedstawicieli patriarchatu ekumenicznego w Konstantynopolu na II Sobór Watykański nie stanowi niespodzianki, gdyż patriarcha Atenagoras I był zawsze zwolennikiem bliskich kontaktów z Rzymem — oświadczył teolog prawosławny dr Nissiotis. Dodał on jednak, że prawosławie, jako całość, z małymi wyjątkami, uważa Sobór Watykański za sprawę czysto wewnętrzną Kościoła rzymskokatolickiego.

*

— Znany amerykański duchowny murzyński dr Martin Luther King, bojownik o pełne równouprawnienie murzynów, odwiedził ostatnio Berlin, tak wschodni jak i zachodni. W operze leśnej (zach. Berlin) i w kościele mariackim (wsch. Berlin), gdzie King przemawiał, zgromadziły się tysięczne rzesze słuchaczy.

Jednota
ROK VII (XXI) Nr 11
Warszawa Listopad 1964
MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY
POŚWIĘCONY SPRAWOM EWANGELICYZMU POLSKIEGO I EKUMENII

Ks. BOGDAN TRANDA

SŁOWA i SŁOWO

Deut. 30, 8—20
Jan 17: 8

Żyjemy w okresie dewaluacji słowa. *) *Rozlega się ono zewsząd, napiera na nas, zalewa nieprzerwanym potokiem. Słowo drukowane — z książki, gazety, plakatu. Słowo transmitowane przez radio, telewizję, nagrane na płytę. Słowo żywe z przemówień, wykładu, dyskusji, rozmowy. Od tych wszystkich słów chciałoby się czasem uciec, zazdrościć dawnym eremitom ich ciszy i wsłuchiwania się w głosy duszy. W tych warunkach cena słowa gwałtownie spada, jak cena każdego przedmiotu, którego nadmiar znajduje się na rynku, zwłaszcza gdy jego jakość pozostawia bardzo wiele do życzenia. Nie ma wątpliwości co do tego, że na współczesnej Agorze znajduje się mnóstwo tandety. Słowa często nie wyrażają tego, co myśli autor, który przy ich pomocy przesłania prawdę, wykrzywia ją, pokrywa nimi ubóstwo myśli, nie wyraża nic, zapełnia pustkę.*

Kiedy kaznodzieja staje wobec swego audytorium, doznaje wielu oporów i w świetle przedstawionej wyżej sytuacji opory te są całkowicie usprawiedliwione, zwłaszcza gdy inteligentny słuchacz staje się coraz bardziej wymagający. Ma on przecież służyć słowem. Do tego zalewającego nas zewsząd potoku ma dodać jeszcze swoje, kaznodziejskie słowa. Często wolałby milczeć. A milczeć nie może, gdy jest świadom tego: „biada mi, jeśli bym Ewangelii nie opowiadał" (1 Kor. 9:16).

Kościół z samego założenia musi posługiwać się słowem. Bez niego obyć się nie może, nie byłby sobą, nie spełniłby swego posłannictwa. Spoczywa więc na nim poważna odpowiedzialność, a kaznodzieja, jako zwiastun Słowa, każdą myśl musi ważyć, zanim nada jej odpowiedni kształt. Zwiastowane przez Kościół Słowo należy odróżnić od wspomnianego potoku słów. Dlatego używamy dużego S. Nie wolno nam o tym zapominać, abyśmy cennego kruszczu Słowa nie rozmieniali na drobne miedziaki obiegowych słówek.

Gdy mówi Pan, zawsze coś się d z i e j e. „Słowo moje, które wyjdzie z ust moich nie wróci się do mnie na próżno, ale uczyni to, co mi się podoba i poszczęści mu się w tym, na co je poślę". Czy więc kaznodzieja może pozwolić sobie na rzucanie słów bez pokrycia? Czy może wierzący słuchacz zwiastowanego Słowa pozwolić sobie na pominięcie wniosków praktycznych z tego Słowa wynikających? To Słowo ma wagę wyjątkową, jedyną, bo wyraża wolę Boga, to Słowo stało się Ciałem.

Z tego wynika kilka rzeczy, na które warto zwrócić uwagę.

„Nawróciwszy się, posłuszny będziesz głosowi Pańskiemu" — człowiek winien żywemu

*) Kazanie, wygłoszone w czasie nabożeństwa synodalnego, w pierwszym dniu obrad, dnia 26 września 1964 r., w Warszawie.

Słowu Boga posłuszeństwo. Rzadko znajdujemy zrozumienie dla tego faktu. Być może dlatego, że zbyt często posłuszeństwo Bogu bywa utożsamione z posłuszeństwem określonym ludziom, a przecież nie ma wątpliwości co do tego, że należy więcej słuchać Boga niż ludzi. Na pewno jednak dlatego fakt ten znajduje zbyt małe zrozumienie, że natura ludzka przeciw posłuszeństwu się buntuje, począwszy już od ogrodu Eden. Woli raczej słuchać podszeptów o swej własnej wielkości.

Ze Słowem związana jest obietnica. „Poszczęści Pan, Bóg twój, w każdej sprawie rąk twoich (...) ku dobremu". Wysiłek, włożony w posłuszeństwo Bogu, nie jest wysiłkiem Syzyfa. Bóg nie żąda działania bezcelowego, to znowu ludzie w imię Boga „wiążą ciężkie brzemiona i kładą na barki ludzkie" i prawda w życiu potwierdzoną jest, że „sami nawet palcem swoim nie chcą ich ruszyć". Nie da się zaprzeczyć, że posłuszeństwo, wierność Bogu wymaga wysiłku, często zaparcia się siebie, czasem aż do krwi. To jest i brzemię i jarzmo, ale Jego jarzmo jest łagodne, Jego brzemię jest lekkie.

Ze Słowem związana jest też przestroga, nawet groźba. „Jeśli się zaś odwróci serce twoje, a nie usłuchasz i dasz się zwieść... z pewnością poginiesz". Takie jest żelazne prawo rzeczywistości, że w sprawach doniosłych nie ma wykrętów; trzeba spojrzeć w oczy twardym faktom. Opowiada się, że saper oczyszczający pole z min myli się tylko raz. Sprawa posłuszeństwa woli Boga jest śmiertelnie poważna, dlatego musi być związana z twardymi konsekwencjami. Taka jest rzeczywistość. Nie ma tu mowy o żadnym straszeniu, chodzi o proste fakty. Tak jak faktem jest, że saperowi nie wolno się pomylić.

Kaznodzieja w zwiastowaniu Słowa nie może być enigmatyczny, rozpływający się w pustych słowach, albowiem słuchacz musi jasno zdawać sobie sprawę, że „przykazanie nie jest przed nim zakryte, ani daleko odległe". Bóg w swej istocie jest dla człowieka niedostępny, Jego plany są niepojęte, sądy niezbadane, a drogi niedocieczone. Tym nie mniej to, co człowiek ma wiedzieć, to, w czym ma okazać posłuszeństwo, nie jest przed nim zakryte. Nie znajduje się gdzieś w niebie, ani za morzem, ale całkiem blisko — w ustach i w sercu. Słowo i czyn. Taka jest natura Słowa, że pochodząc z niedostępnego źródła Bożej istoty, przybiera postać dla słuchacza jasną. Dlatego Bóg stał się człowiekiem, w swej mądrości sprawił, że odwieczne Słowo stało się ciałem w Jezusie Chrystusie.

Rozpoczynając dzisiaj sesję Synodu, musimy zachować w pamięci tych kilka cech, związanych z naturą Słowa. Jesteśmy na tym miejscu zebrani z różnych stron naszego kraju, reprezentowane są wszystkie ośrodki Kościoła. Zjazd nasz ma specjalne zadanie, które nie może być sprowadzone tylko do spraw waż

„Synod wyraża naszą wspólną, całego Kościoła, gotowość wsłuchiwania się w głos Boga".

nych dla formalnego funkcjonowania organizacji kościelnej, ale nie podstawowych dla Kościoła jako takiego, ani dla Synodu, jako naczelnego organu Kościoła. Synod jest społecznością przedstawicieli zborów, jest wyrazem naszej jedności, naszej wspólnej wiary. Synod wyraża więc naszą wspólną, całego Kościoła gotowość wsłuchania się w głos Boga. Dlatego, gdy będziemy zabierali głos w różnych żywotnych sprawach naszej Jednoty, pamiętajmy o tym, aby nie dodawać wiele do chóru otaczających nas strumieni słów, ale każdą wypowiedź ważmy z należytym poczuciem odpowiedzialności. W ten sposób będziemy mogli usłyszeć niestłumiony głos Boga. Jest to rzecz ogromnie ważna dla wszystkich delegatów, którzy do swych zborów, domów i miejsc pracy, mają wrócić wzbogaceni o nowe doświadczenia i przekazać je swoim współbraciom, dzięki czemu oddziaływanie Synodu nie zakończy się na zamknięciu bieżącej sesji, lecz przedłuży się w działalności całej Jednoty.

Jezus, modląc się w Getsemane, dziękował Bogu, że uczniowie przyjęli Jego Słowa. „Dałem im słowa, któreś mi dał i oni je przyjęli i prawdziwie poznali, żem od Ciebie wyszedł i uwierzyli, żeś mnie posłał". Wielu słyszało słowa Jezusa, wielu nimi się zachwycało — „Błogosławiony żywot, który Cię nosił!". Niewielu jednak przyjęło Go, nie mogąc pogodzić się ani umysłem, ani sercem z tym, aby w Jezusie, synu cieśli z Nazaretu („Czy z Nazaretu może być coś dobrego?") dostrzec Chrystusa, pomazańca Pańskiego, Syna Bożego. Oni jednak uwierzyli i poznali. Byli uczniami, a nie słuchaczami tylko, oszukującymi siebie samych. Dlatego mogli przekazać innym ważne słowo o miłości Boga do człowieka i realizowane w praktyce przykazanie miłości do bliźniego. Idź i uczyń podobnie tu, w czasie sesji i tam, gdzie żyjesz na codzień. Amen.

Synod 1964

Doroczna sesja zwyczajna Synodu Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL, która odbyła się w Warszawie w dniach 26 i 27 września br., połączona została z dwiema uroczystościami kościelnymi. Oto w sobotę, dnia 26 września, po nabożeństwie inaugurującym Synod i po krótkich obradach, w godzinach wieczornych, w kościele parafialnym miała miejsce uroczysta akademia dla uczczenia 400-lecia śmierci reformatora Kościoła, *Jana Kalwina*. Referat okolicznościowy wygłosił *prof. O. Bartel* z Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej. Wśród jego słuchaczy najsilniejszy oddźwięk znalazły nieznane ogółowi fakty, mówiące o kontaktach i korespondencji prowadzonej przez wielkiego teologa z naszymi rodakami sprzed czterech stuleci.

Dnia następnego, podczas uroczystego nabożeństwa synodalnego, prezes obradującego Synodu, *p. J. Skierski*, dokonał odsłonięcia 2 tablic pamiątkowych w kościele. A oto ich treść:

Tekst na tablicy na prawo od wejścia głównego do kościoła:

•

PAMIĘCI
ZASŁUŻONYCH PRZEWODNIKÓW
KOŚCIOŁA
I PASTERZY ZBORU WARSZAWSKIEGO

śp.
ks.ks. superintendentów

Jana Salomona MUSSONIUSA † 1790

Karola DIEHLA † 1832

Ludwika TEICHMANNA † 1839

Józefa SPLESZYŃSKIEGO † 1879

Augusta Karola DIEHLA † 1908

Fryderyka JELENA † 1910

Władysława SEMADENIEGO † 1930

Stefana SKIERSKIEGO † 1948

Kazimierza OSTACHIEWICZA † 1952

Tablicę tę poświęcają
wdzięczni współwyznawcy

Rzym. 1, 17

Warszawa, dn. 27.IX.1964 r.

Tekst na tablicy na lewo od wejścia głównego do kościoła:

PAMIĘCI
ZASŁUŻONYCH DUSZPASTERZY
KOŚCIOŁA
KTÓRZY ZGINĘLI ZA OJCZYZNĘ
W HITLEROWSKICH MIEJSCACH KAŹNI

śp.

ks.ks.
Jana POTOCKIEGO † 1941
kapelana W.P.

Jerzego JELENA † 1942

Ludwika ZAUNARA † 1945

Ew. Ś. Jana XV, 13
Warszawa, dnia 27.IX.1964 r.

Ks. sup. J. Niewieczerzał w swym kazaniu nakreślił w skrócie sylwetki wszystkich superintendentów, pasterzy zboru warszawskiego, jak również tych księży, których życie zostało brutalnie przerwane po zesłaniu do obozów koncentracyjnych. Zginęli za to, że byli Polakami. Kościół stracił w nich i nieodżałowanych duchownych i wartościowych ludzi, a strata ta daje o sobie znać po dzień dzisiejszy.

Obrady Synodu pod hasłem „Przyjdź Duchu Swięty" sprężyście prowadził prez. Jan Skierski.

ks. Zdzisław Tranda wprowadził słuchaczy w jedno z najbardziej fundamentalnych zagadnień...

W ramach porządku obrad Synodu *ks. Z. Tranda* wygłosił referat pt. „Posłannictwo Kościoła we współczesnym świecie". Prelegent, mimo iż dysponował tylko 30 minutami czasu, wprowadził słuchaczy w jedno z najbardziej fundamentalnych zagadnień obecnej rzeczywistości chrześcijańskiej, dając nie tylko podbudowę teoretyczną tematu, ale pokazując również konkretne, często drastyczne przykłady tych momentów życia, w kierunku których powinno się zwrócić posłannictwo Kościoła.

Synod miniony, zgodnie z Prawem Wewnętrznym Kościoła, dokonał wyboru nowych władz w związku z wygaśnięciem poprzedniej, 3-letniej kadencji Konsystorza. Prezesem Konsystorza został po raz drugi *p. Aleksander Garszyński.*

Wiele miejsca zajęły prace sprawozdawcze. Ten fakt był szeroko komentowany. Jednocześnie, w związku z zainteresowaniem, z jakim spotkał się referat synodalny, jak też i z tym, iż na sali obrad Synodów coraz częściej poruszane są sprawy form i treści życia religijnego zborów Jednoty, Synod przyjął większością głosów wniosek mówiący o sprowadzeniu do minimum tematyki sprawozdawczej na przyszłych, niewyborczych Synodach, a poświęceniu myśli i pracy synodujących w większym stopniu sprawom najbardziej istotnym — sprawom religijnym.

Poza podniesieniem wyżej omówionej sprawy, odbyty Synod nie charakteryzował się momentami szczególnie istotnymi. Delegaci

zborów poruszali sprawę materiałów pomocniczych dla świeckich pracowników Kościoła, apelowali o nowe wydawnictwa, o nowe jak najbardziej zróżnicowane formy życia religijnego, o jak najściślejszy kontakt z wszystkimi wyznawcami; interesowali się sprawami wychowania religijnego dzieci i młodzieży.

W odpowiedzi na te wszystkie pytania prezes Konsystorza i *ks. sup. J. Niewieczerzał* wyjaśnili i informawali o pracach wykonywanych jak i podjętych oraz zaplanowanych.

Warto wreszcie na koniec powiedzieć, że uroczystości synodalne zaszczycili swoją obecnością liczni goście zagraniczni z panem ambasadorem Republiki Ghany w Polsce, na czele. Jest to żywy przykład konkretnej ekumenii. Słowo to padało zresztą co chwila na sali obrad, dając wyraz temu, iż światowy ruch ekumeniczny, jak i zagadnienie pokoju, reprezentowane przez Chrześcijańską Konferencję Pokojową, tak mocno wrosły już w najrozmaitsze przejawy naszego obecnego życia kościelnego, że stanowią obecnie jego nieodłączną, organiczną cząstkę.

Prof. dr O. BARTEL

BARTŁOMIEJ BYTHNER, wybitny polski ekumenik w. XVII i jego „Braterskie napomnienie"

Gdy w Polsce, na przełomie wieku XV i XVII, za sprawą Rzymu, Zygmunta III Wazy oraz jezuitów, na dobre rozsrożyła się kontrreformacja, sytuacja rozbitego obozu reformacyjnego fatalnie się pogorszyła. Z tego niebezpiecznego dla Reformacji polskiej stanu rzeczy zdawali sobie sprawę protestanci polscy, zarówno świeccy, jak i duchowni, ale nie mieli sił, by powstrzymać coraz mocniej nacierającą reakcję katolicką. Aby stawić jej czoła, protestanci winni byli zewrzeć swoje szeregi. Na Synodzie generalnym w Toruniu 1595 r. została raz jeszcze potwierdzona i właściwie nigdy później nie odwołana, Zgoda Sandomierska (1570), łącząca luteran, kalwinów i Braci Czeskich. Utraciła ona jednak swoją moc i znaczenie w polskim obozie Reformacji.

Do tych wielu protestantów polskich, którzy boleli nad słabością polskiego obozu Reformacji i szukali wyjścia z impasu, należał Bartłomiej Bythner, autor dzieła „Exhortatio Fraterna ed Modesta" — „Braterskie i skromne napomnienie". Dzieło to zajmuje poważną pozycję w literaturze ekumenicznej wieku XVII. Genetycznie i treściowo jest ono związane z dążeniami unijnymi Jana Łaskiego, ze Zgodą Sandomierską oraz z Listami protestantów polskich z sejmu warszawskiego 1578 r., nawołującymi protestantów niemieckich do zgody i jedności. Na książkę Bythnera, która na Zachodzie nabrała dużego rozgłosu, a po roku 1722 poszła w zapomnienie, zwróciła uwagę protestancka nauka historyczna, a dr A. Starke poświęcił temu dziełu całą rozprawę.

O autorze „Napomnienia" nie wiele wiemy. Urodził się ok. 1559 r. Był proboszczem reformowanym w Głębowicach (woj. krakowskie) a po r. 1624 w Malicach — tu zmarł 28. III.1662 r. — i seniorem dystryktu oświęcimsko-zatorskiego, później sandomierskiego. Z pochodzenia był Ślązakiem, wyraźnie jednak przyznawał się do polskości, pisząc: nos Poloni, dulcissima patria nostra, nostrum genus itp. Nie wiemy, gdzie się uczył. Na podstawie zachowanych dzieł można stwierdzić, że Bythner otrzymał staranne wykształcenie, był duchownym bardzo oczytanym, znał dzieła pisarzy starożytnych, średniowiecznych, humanistów i teologów XVI wieku. Zwłaszcza dobrze orientował się w pismach Lutra, Melanchtona i Kalwina, trzeźwo oceniał ich poglądy. Wypowiedział m.in. śmiałe zdanie, że reformatorzy ci nie mogą sobie rościć pretensji do nieomylności.

Bythner dobrze orientował się w historii Kościoła, przede wszystkim w historii Reformacji, a jako teolog gruntownie znał Pismo święte oraz pisma Ojców Kościoła. Pisał w języku łacińskim, polskim i niemieckim. Swoje główne dzieło „Exhortatio" napisał w 1607 r. Zaswój braterski i ewangelicki obowiązek uważał upomnieć w nim skłóconych współwyznawców i współbraci oraz nawoływać ich do wzajemnej wyrozumiałości, zgody i zjednoczenia w obliczu potęgującej się kontrreformacji. „Ludzie pobożni — pisze Bythner — mogą i (...) powinni zachować pomiędzy sobą przyjaźń, nie bacząc na różnicę zdań w poszczególnych rzeczach (...). Wszyscy, bez względu na różnice poglądów, jesteśmy jednym ciałem, którego głową jest Chrystus".

„Napomnienie" Bythnera składa się z trzech części. W pierwszej autor wyłuszcza przyczyny, które powinny prowadzić protestantów do zgody i jedności, takie jak: miłość bliźniego, Nowe Przykazanie, które wymaga od protestantów czynnej miłości i wreszcie zgodność wyznań protestanckich, jak to widać z wydanej w Genewie (1581), choć nie przyjętej przez protestantyzm polski, „Harmonii konfesji".

Zasadniczą przyczyną, która zmusza protestantów do opamiętania się, zgody i jedności jest niebezpieczeństwo ze strony Rzymu oraz ariano-baptyzmu. Bythner uważa, że trzeba przede wszystkim wytworzyć odpowiednią atmosferę, aby mogły się udać wzajemne rozmowy i wysiłki pojednawcze między skłóconymi protestantami. W celu osiągnięcia tej atmosfery należy w obozie Reformacji zabronić wszelkich sporów dogmatycznych. Gdy uspokoją się namiętności i zapanuje zgoda, a protestanci we wzajemnych stosunkach będą wykazywali więcej dobrej woli, wtedy dopiero niemieccy książęta ewangeliccy mają zwołać powszechne zgromadzenie kościelne, w którym wezmą udział przedstawiciele protestantyzmu światowego. Bythner wierzy głęboko, że możliwe jest zwołanie takiego zgromadzenia, podczas którego osiągnięta zostanie jedność ewangelickiego świata zachodnioeuropejskiego. I tu z dumą wska-

zuje autor na przykład polskiego protestantyzmu, a mianowicie na Zgodę Sandomierską.

W drugiej części swojej pracy Bythner wysuwa szereg praktycznych projektów, które w jego głębokim przekonaniu mogą sprowadzić zjednoczenie protestantów różnych wyznań.

W trzeciej części „Napomnienia" autor omawia i odpiera obiekcje, jakie mogą się nasunąć w dziele jednoczenia, a jednocześnie wskazuje trudności, które mogą się wyłonić. Całe dzieło Bythnera cechuje irenizm, optymizm i wiara w to, że różnice wyznaniowe między protestantami nie są aż tak wielkie, by przy dobrej woli i wzajemnej miłości, nie mogły być przezwyciężone. Autor jest zdania, że we wzajemnych rozmowach podkreślać należy nie to co dzieli, lecz to co łączy.

Bythner znajduje wiele punktów stycznych między protestantami różnych wyznań, wspólną platformę ideologiczną i szerokie możliwości współpracy. Autor „Napomnienia" wierzył i gorąco propagował szlachetną myśl, iż droga do zgodny i jedności prowadzi przez Miłość: via ad Concordiam — Caritas. Bythner występuje przeciwko używaniu takich wyrazów, jak: kacerz, herezja. Domaga się niszczenia pism budzących nienawiść oraz zawierających wzajemne szyderstwa. Ten postulat autora był uzasadniony, gdyż kwitła wtedy, i to zarówno w obozie protestanckim jak i katolickim, literatura szydercza. Bythner znał ją dobrze, wymienił m.in. dzieła takich fanatyków katolickich, jak Reszko, sekretarz Hozjusza i Andrzej Jurgiewicz, kanonik wileński. Skłócenie protestantów i wzajemne szyderstwa wywołują radość przeciwników, a gorszą „maluczkich". Według autora za taki niepocieszający stan rzeczy w dużym stopniu winę ponoszą księża. Oni więc nigdy nie doprowadzą do zgody, ponieważ zbyt mało w ich kazaniach ducha pojednania, a tym samym nie mogą zbudować Kościoła Chrystusowego. Bythner powołuje się na Erazma z Rotterdamu, który sądził, że należy nakazać milczenie nauczycielom Słowa Bożego — którzy nie uspakajają obudzonych namiętności, a raczej je rozpalają — aby mógł zapanować spokój w chrześcijaństwie.

Szukając przyczyn takiego stanu rzeczy w obozie Reformacji, Bythner sądzi, że źródłem sporów i kłótni jest egoizm, zawiść, małpowanie, przede wszystkim zaś nieznajomość Pisma świętego, które winno być jedyną podstawą nauki i normą życia chrześcijańskiego. Pragnąc zgody i porozumienia między wszystkimi protestantami, Bythner często uderza w ton prawdziwie ekumeniczny. Żąda np., aby zniknęły wszelkie sekty, aby zarzucone zostały nazwy takie, jak: luteranie, kalwini, papieżnicy, socynianie, anabaptyści. Niechaj wszyscy zowią się i będą chrześcijanami.

Bythner przypomina dawne próby pojednania i jednoczenia skłóconych ewangelików różnych wyznań: Marburg 1529, Concordia wittenberska 1536, szukanie porozumienia ze Szwajcarami 1538. Zastanawiając się nad tymi, wynikłymi z powodu różnicy zdań w zagadnieniach teologiczno-dogmatycznych sporami, Bythner jeszcze raz podkreśla, że źródło takiego stanu rzeczy leży w słabej znajomości Pisma świętego, a przecież ono winno stanowić jedyną normę i kryterium we wszystkich spornych sprawach, a nie katechizm lub wyznanie.

Na proponowanym przez Bythnera powszechnym zgromadzeniu kościelnym trzeba, właśnie w oparciu o Biblię, osiągnąć porozumienie i jedność w takich spornych sprawach, jak: osoba Chrystusa, Komunia św., predestynacja, obrzędowość i dyscyplina kościelna. Aby dojść do porozumienia ,mówcy winni unikać wyrazów i wyrażeń obcych Pismu św. oraz rozróżniać „konieczne" i „niekonieczne" zasady wiary, prowadzące do zbawienia. Gdy te sporne kwestie będą pomyślnie rozwiązane, można — zdaniem Bythnera — kreślić plan przyszłej działalności protestantów już zjednoczonych. Winni oni zabrać się do rozległej pracy dobroczynnej i oświatowej — troszczyć się przede wszystkim o ubogich, wdowy i sieroty po pastorach, o egzulantów oraz wziętych do niewoli. Dla podniesienia poziomu oświaty winni zakładać szkoły i drukarnie. Plan ten był później świetnie realizowany przez wielkiego pietystę, Franckego.

Dzieło Bythnera miało powstać rzekomo pod natchnieniem irenika, Dawida Pareusa, profesora teologii Uniwersytetu Heildelberskiego. Nie jest ono jedyne w literaturze ekumenicznej schyłku wieku XVI i XVII. Ma ono wiele wspólnego z podobnymi rozprawami tych czasów, lecz ma jednak duże znaczenie, gdyż wyraża opinię kalwinów i Braci Czeskich w Polsce, a przemawia w imieniu „Braci Kościołów Ewangelickich w Królestwie Polskim".

Pod względem teologicznym stoi dzieło Bythnera na gruncie umiarkowanego kalwinizmu, całą tę rozprawę cechuje czystość intencji i zamierzeń, bezstronność, subtelność i wstrzemięźliwość przy omawianiu najbardziej spornych i drażliwych punktów doktryny chrześcijańskiej, bije z niej szlachetny, ciepły i serdeczny ton oraz miłość i zaufanie do ludzi inaczej wierzących i myślących. Cel praktyczno-moralny „Napomnienia" to załagodzenie sporu oraz przygotowanie zjednoczenia protestantów. W dalszej jednak perspektywie autor widzi wyraźnie jedność całego świata chrześcijańskiego. Oto kilka jego wypowiedzi: „Niechaj obca będzie sługom Chrystusowym okrutna niezgoda, albowiem Bóg może być czczony jedynie w pokoju. Żadna zaraza ani też jad żaden nie szkodzi owieczkom tak, jak zwada pasterzy. (...) Zaiste nie powinno być ani kalwinisty, ani socynianina, ani też luteranina; wszyscy (...) niechaj będą chrześcijanami oraz braćmi między sobą. (...) Przynależność do liczby uczniów Chrystusowych (...) powinna skłonić nas do jedności, której jednak (...) nie należy utożsamiać (...) z martwą jednostajnością. (...) Religia (...) nie znosi przymusu. (...) Wypływa jedynie z przekonania i obca jest jej chęć panowania."

Bythner kończy swoją „Exhortatio": następująco: „Sint unum, doceant unum, fateantur et unum! Unum qui a Christi nomine nomen habeant."

KATOLICYZM XX WIEKU

Drugie oblicze

Często słyszy się zdanie, że czasy krwawych prześladowań religijnych dawno już minęły i dzisiaj, w wieku XX, są nie do pomyślenia. Okazuje się, że to nie jest prawda. Chrześcijanie bywają uciskani i prześladowani w różnych miejscach naszego globu z powodu swej wiary. Niełatwo jest być chrześcijaninem w XX wieku, czasem jest to nawet rzeczą niebezpieczną. Jeżeli prześladowcami są niechrześcijanie, jesteśmy gotowi nawet się z tym pogodzić, a przynajmniej zrozumieć. Cóż począć jednak, gdy występują w tej roli ludzie, uważający się za chrześcijan?

Od szeregu lat wiele słyszymy o głębokich zmianach, jakie zachodzą w Kościele rzymskokatolickim. Z zaobserwowanych, istotnych zmian szczerze się cieszymy, co wszakże nie zwalnia nas od obowiązku pozostawania czujnymi. Ukazuje się nam obecnie, w dobie Janowego, II Soboru Watykańskiego, życzliwie uśmiechnięte oblicze tego Kościoła, a jednocześnie zdarzają się przypadki, jak na przykład konwersja holenderskiej księżniczki Ireny, lub stanowisko polskiej hierarchii, które nie tylko budzą zdziwienie, ale każą wątpić o szczerości wyrazu ukazywanego nam oblicza. Czy wątpliwości takie wypływają tylko z przesadnej podejrzliwości, albo głębokiej niechęci, chwytającej się pierwszej lepszej okazji?

Ostatnio zostały przypomniane pewne fakty, społeczeństwu polskiemu zupełnie nieznane. Jak wyżej wspomniano, współcześnie dziać się mogą rzeczy, w które nie chce się wierzyć, ale które przemawiają twardym językiem faktów, odsłaniając drugie oblicze katolicyzmu. Oto, co podaje organ Kościoła prawosławnego w Polsce, „Cerkownyj Wiestnik" *).

„W 1948 roku w Jugosławii wydana została obszerna praca profesora Uniwersytetu Belgradzkiego, Wiktora Nowaka, pt. «Magnum Crimen». (Pół wieku katolicyzmu w Kroacji...). Stanowi ona ostatnią część wielkiej trylogii, omawiającej rolę duchowieństwa katolickiego w dziejach narodu kroackiego na przestrzeni ostatnich stu dwudziestu lat.

„Podane w «Magnum Crimen» fakty miały miejsce na terenie Kroacji, która po zagarnięciu Jugosławii w kwietniu 1941 roku przez Niemcy hitlerowskie, stała się niepodległym państwem o ustroju klerykalno-faszystowskim. Pohlawnikiem, albo kroackim führerem stał się Ante Pavelic. Kroaci w swej większości są katolikami. Granice niepodległej Kroacji nie pokrywały się jednak z granicami etnicznymi i na terenie państwa znalazło się kilka diecezji prawosławnych oraz milion osiemset tysięcy ludności prawosławnej, przeważnie Serbów. Niepodległa Kroacja miała się stać państwem czysto katolickim, w którym co prawda mieszkali także muzułmanie, jednak dla prawosławnej ludności miejsca nie było.

„Właśnie w niepodległej Kroacji za rządów Pavelica i ustaszów (kroackich esesmanów) blisko pół miliona prawosławnych Serbów zostało pomordowanych, około trzystu tysięcy „nawrócono" na katolicyzm, setki tysięcy wypędzono z kraju. Prawosławni, pozostali w Kroacji, faktycznie znajdowali się poza prawem. Obowiązani byli nosić na ramieniu niebieską opaskę z literą „P" (prawosławny); na oknach ich domów miał być umieszczony napis „grecko-wschodni". Utworzony został specjalny „Urząd do spraw burzenia cerkwi prawosławnych". Większość świątyń i kaplic prawosławnych została wówczas zburzona, spalona, lub przerobiona na kościoły rzymskokatolickie. W 1952 roku utworzony został „Kroacki Kościół Prawosławny", który faktycznie miał być unickim Kościołem i zadaniem jego była denacjonalizacja i łacinizacja prawosławnych Serbów. Po utworzeniu tego Kościoła krwawe prześladowanie ludności prawosławnej trwało nadal.

„Spośród licznych przytoczonych w książce prof. Nowaka faktów, obrazujących sytuację ludności prawosławnej na terenie katolickiej Kroacji i stosunek do tej ludności katolickiego duchowieństwa, warto podać choć kilka.

„Duchowny prawosławny we wsi Balewice, Jerzy Bohicz został wyprowadzony ze swego domu o północy i zamordowany za namową księdza katolickiego, Sydoniusza Szolca; przed zamordowaniem duchownemu spalono brodę, odcięto nos i język, a potem rozpruto brzuch i jelita owinięto dookoła szyi (str. 641).

„Jezuita Filipowicz, który stał na czele oddziału ustaszów, kazał zamordować 52 prawosławnych górników z kopalni w pobliżu miasta Banialuki. Z jego rozkazu później pomordowani byli wszyscy prawosławni mieszkańcy osady Drakulice, z której pochodzili ci górnicy. Uratowała się tylko jedna kobieta z pięciorgiem dzieci, jednak w wyniku doznanych przeżyć postradała zmysły (str. 646).

„W okręgu Stołackim zamordowano około czterech tysięcy niewinnych Serbów i akcją kierowali tu dwaj księża katoliccy — Marko Zowko i Tomas Ilja. Ten ostatni zmusił grupę prawosławnych ze wsi Klepec do przejścia na katolicyzm, udzielił im Komunii Św., po czym skierował ich do gmachu szkolnego, gdzie zostali pomordowani przez ustaszów. „Mylicie się — mówił ten ksiądz, zwracając się do prawosławnych — sądząc, że nawracamy was na katolicyzm dla uratowania waszego mieszkania, zarobków, lub życia: chcemy ratować tylko wasze dusze" (str. 712—714).

„...Wszelkie protesty kierowane do najwyższych czynników państwowych i kościelnych w kraju i zagranicą pozostawały jednak „głosem wołającego na puszczy", gdzie ci, których jedno słowo mogło położyć kres barbarzyństwom i potwornościom, takiego słowa nie powiedzieli."

Pod naciskiem.

Z zainteresowaniem obserwujemy powolne zmiany, zachodzące we współczesnym katolicyzmie. Pewne zdziwienie budzą wielkie opory, jakie pokonywać musi światlejsza część episkopatu soborowego dla wprowadzenia oczywistych, zdawałoby się, zmian, do których należy choćby sprawa języka narodowego w liturgii. Zachodzą wszakże ogromnie interesujące zjawiska w dziedzinach, które dotąd były zupełnie nietykalne. Pod naciskiem opinii i wymowy sytuacji, krok po kroku zaczyna katolicyzm przygotowywać się do zmiany zdania. Świadome rodzicielstwo jest właśnie dziedziną, którą mamy na myśli.

Rzymski korespondent „Życia Warszawy", Ignacy Krasicki, w kolejnej korespondencji z Rzymu pt.

*) Nr 3, 1964, str. 15 ns.

„Dyskusja wokół kontroli urodzeń", omawia to zagadnienie. Ignacy Krasicki jest szeroko znany nie tylko z łamów popularnego dziennika, ale i z charakterystycznego głosu nadawanych przez radio korespondencji. Jego doniesienia charakteryzują się znajomością tematu i dużym obiektywizmem. Warto tu przytoczyć fragmenty wspomnianej korespondencji.

„Z punktu widzenia moralistyki katolickiej najwymowniejszym z tych gorących sporów poprzedzających III sesję jest ten, który koncentruje się na „eksplozji demograficznej" i zagadnieniu kontroli urodzin. (...) Jeszcze podczas II sesji w ubiegłym roku grupa wybitnych teologów, kierowana przez jedną z najwybitniejszych postaci współczesnego Kościoła i przyjaciela papieża Pawła VI — kardynała belgijskiego Suenensa — opracowała dokument, będący z punktu widzenia tradycyjnej katolickiej myśli teologicznej czystą herezją. W dokumencie tym dominikanin holenderski ojciec S., a także kanonik z katolickiego Uniwersytetu w Lowanium ks. J. opowiedzieli się, wraz z innymi swymi kolegami, i działając z wyraźnej inspiracji kardynała Suenensa, w gruncie rzeczy za przyjęciem przez Kościół tezy o kontroli urodzin i planowaniu rodziny.

To nowe stanowisko teologiczne sformułowano zarówno teoretycznie, jak i praktycznie. Tradycyjna moralistyka katolicka zakładała — jak wiadomo — że jedynym celem zawarcia związku małżeńskiego jest poczęcie dziecka. Ten konserwatywny, dogmatyczny i ciasny pogląd usztywniał od dziesiątków lat oficjalne stanowisko Kościoła katolickiego wobec upowszechniających się na całym świecie tendencji ograniczania przyrostu naturalnego i planowania rodziny.

(...) Rewelacyjna nowość w stanowisku grupy teologów skupionych wokół kardynała Suenensa polega na tym, że — jak stwierdzili oni przed rokiem w opracowanym przez siebie dokumencie — uważają za możliwe, a nawet konieczne, by Kościół „w pewnych warunkach" zgadzał się na „sztuczne, chemiczne" ingerencje medycyny, korygujące działanie „praw natury" w sposób uniemożliwiający prekoncepcję.

(...) Nie od rzeczy będzie dodać inny, bardzo prozaiczny argument lansowany przez zwolenników katolickiego „planowania rodziny". Tak sformułował go w rozmowie z niżej podpisanym pewien zakonnik holenderski:

— „Tradycyjne stanowisko Kościoła sprzeczne z postulatami „birth control" wprowadza w zakłopotanie niejedno wrażliwe sumienie katolickie, stwarza płaszczyznę dla masowych konfliktów sumień nie tylko tam, gdzie Kościół zakorzeniony jest od stuleci, ale zwłaszcza w krajach misyjnych. Nowe spojrzenie na problemy planowania rodziny może Kościołowi tylko dopomóc."

Tygodnik amerykański „News week" w numerze z 6 lipca br. przytacza sporo nazwisk wybitnych katolickich uczonych z USA, a także czołowych teologów i biskupów, którzy w ostatnich miesiącach jasno wypowiedzieli się za nowymi ujęciami schematu 17 w tym zakresie, przeciw stanowisku tradycyjnemu, dogmatycznemu. Tygodnik przytacza niektóre wypowiedzi tych osób angażujących się zdecydowanie przeciwko zachowawczym pozycjom. Oto dwie charakterystyczne:

— Ks. prałat George W. Casey (68 lat), katolicki proboszcz w Lexington: „Istnieje dotąd konflikt pomiędzy prawem i społeczeństwem (a Kościołem). Nie chcemy radykalnych zmian, ale miejsca dla manewrowania. Rodziny nie mogą tworzyć potomstwa, jak to było za czasów naszych rodziców. W sposób zdesperowany oczekuje Kościół na jakieś wyjście z tej sytuacji."

— Profesor katolicki Russel Barta (45 lat) z Mundelein College w Chicago: „Sytuacja wymaga całkowitej zmiany. Stanowisko teologów i oświadczenia papieskie winny ulec rewizji. Potrzeba swobodnej dyskusji w sprawie kontroli urodzin. Ludzie powiadają, że Kościół nie zmienia się — jest jakby skałą. Tymczasem jest faktem, że Kościół nigdy nie był niezmienny. Wiele aspektów dzisiejszego Kościoła stanowi rezultat rozwoju historycznego. Byłoby rzeczą zdrową dla Kościoła przyznać otwarcie, że nie udzielił jeszcze odpowiedzi na wiele pytań. Między innymi w sprawie prawdziwego celu małżeństwa — wzajemnego stosunku miłości do poczęcia".

(...) Co czyni ten odłam hierarchii kościelnej, który do ostatka angażuje się w gwałtowny sposób przeciwko jakiejkolwiek próbie akceptacji „pigułki katolickiej"? Nic nie wskazuje na to, by miał on skapitulować zbyt łatwo. Niedawno kardynał Ottaviani, przywódca obozu soborowej „konserwy", opublikował w jednym z tygodników włoskich wywiad, w którym otwarcie, po nazwisku, atakuje kard. Suenensa za jego nowe ujęcie problematyki „eksplozji demograficznej". Także w niektórych innych krajach, na przykład w Polsce, Hiszpanii, Ameryce Łacińskiej, Episkopaty lokalne wypowiadają się mniej lub bardziej otwarcie przeciwko realistycznej i nowoczesnej tendencji."

J. L. HROMADKA

U wrót dialogu

Znany na forum międzynarodowym wybitny teolog czeski i prezydent Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej w Pradze, dziekan J. L. Hromadka, obchodził w początkach czerwca br. 75 urodziny. Z okazji tej została wydana niewielka, sympatyczna książka jubileuszowa pod wymownym biblijnym tytułem „Pole je tento svet" — „Rolą jest świat" (Mat. 13,38). W obszernym wstępnym studium senior synodalny dr Vikto Hajek kreśli wnikliwie duchową sylwetkę swego mistrza, po czym następuje pięć drobniejszych prac jubilata z lat poprzednich, a wreszcie niepublikowana dotąd praca pt. „U wrót dialogu", z której przytaczamy dwa najcharakterystyczniejsze dla autora rozdzialiki.

I

Mówi się dziś wiele o kontaktach ekumenicznych. Potrzebę dialogu uznaje się nawet w polityce i w stosunkach międzynarodowych. Na konferencjach i wizytach rozmawialiśmy dotąd tylko sami ze sobą i gubiliśmy się w monologu. Patrzyliśmy na siebie z zaciekawieniem, cieszyliśmy się z możności poznania nowych krajów i nowych ludzi, uznawaliśmy konieczność uchylenia dzielącej nas rzeczywistości, czy urojonej kurtyny. Wszystko to posiadało niewątpliwie pewną wartość i sens, ale nie pomylę się chyba twierdząc, że nie rozmawialiśmy ze sobą tak, aby się wzajemnie zrozumieć, aby obiektywnie ocenić stanowisko brata z przeciwka, aby wspólnie szukać dróg do nowoczesnego człowieka i do stworzenia nowej sytuacji. W chwili zaspokojenia ciekawości, zatrzymywaliśmy się w połowie drogi.

Międzynarodowa sytuacja polityczna i duchowa jest w dalszym ciągu napięta, a chrześcijaństwo jest dziś bodaj bardziej rozerwane niż kiedykolwiek. Zgoła różnie pojmujemy wypadki dziejowe. Chrześcijanie Wschodu upatrują przyczyny współczesnego kryzysu w czymś całkiem innym, niż chrześcijanie Zachodu. Przewroty dziejowe uformowały chrześcijanina z Europy wschodniej w zakresie politycznym, społecznym, kulturalnym w taki sposób, że staje się on socjalistą, a cele i zamierzenia komunistyczne nie wywołują w nim już strachu i szoku. Pod względem obywatelskim staje się coraz bardziej aktywnym czynnikiem przebudowy społecznej. Swojemu środowisku pomaga aktywnie i twórczo spełniać trudne zadania publiczne, polityczne i ekonomiczne, nawet kulturalne i wychowawcze, nie wahając się nieść mu świadectwo Ewangelii. Tradycyjna forma społeczeństwa zachodniego, w której wielu na Zachodzie widzi rękojmię dalszego trwania i działalności Kościoła, dla niego należy już w gruncie rzeczy do przeszłości. Całkiem inaczej zapatruje się na teraźniejszość i przyszłość, na dalszy rozwój ludzkości i przyszłe jej formy. Środowisko wyciska na nas swoje specyficzne piętno.

Jasne, że w chwili, kiedy napięcie wywołane przez zimną wojnę i przez odmienną koncepcję społeczną raczej rośnie, niż maleje — odnosimy nieraz wrażenie, że nasz brat z przeciwka zapatruje się jednostronnie na sytuację dzisiejszą i na programy rozwiązania kryzysów międzynarodowych. Toteż zdarza się, że potrafimy zbliżyć się do siebie na gruncie teologicznym i na płaszczyźnie wiary, ale odalamy się od siebie z nieufnością, skoro tylko zaczniemy stwierdzać zachodzące między nami różnice zapatrywań w zagadnieniach światopoglądowych, a nawet i w praktycznych zadaniach życia publicznego. Po chwilowym zbliżeniu następuje raptem oziębienie, jeśli nie wręcz nieufność, i pogłębienie wzajemnych uprzedzeń i podejrzeń. W rezultacie stawiamy sobie pytanie, czy dzielące nas różnice nie tkwią przypadkiem w naszej teologii.

Dzielące nas różnice są naprawdę poważne, ale właśnie one stwierdzają nieodzowność dialogu. Protestant, rzymski katolik i prawosławny winni utrzymać dialog nawet w sprawach najtrudniejszych. A jest ich wiele. Różnimy się w zapatrywaniach na Pismo św. i na tradycję, na inkarnację Słowa w Jezusie Nazareńskim, na autorytet i moc Ducha św. i łaski Bożej, organizację kościelną, na hierarchię i sukcesję apostolską. Nie powinniśmy unikać dialogu nawet w tych sprawach. Oczywiście nie po to, aby przekonać stronę przeciwną o własnej słuszności i prawdzie, lecz by zrewidować swoje poglądy i starać się zrozumieć drugą stronę, aby wspólnie walczyć o czystą wieść Ewangelii i Kościoła Chystusowego w jedności wiary, przerastającej wszystkie historyczne ugrupowania kościelne.

Tak być powinno na płaszczyźnie teologicznej i kościelnej. Ale nie wolno również zaniedbywać dialogu w zakresie najistotniejszych różnic w poglądach na sprawy społeczne i państwowe, sensu rozwoju dziejowego w przyszłości i w chwili obecnej, wolności i sprawiedliwości, fundamentów pokojowej koegzystencji międzynarodowej. Sytuacja bowiem w dalszym ciągu jest napięta. I może właśnie dlatego obecnie jest najodpowiedniejsza chwila dla przygotowania się do rzeczywistego dialogu.

Człowiek wierzący uznaje nad sobą wiążącą go normę, która stoi nad ludzkimi zapatrywaniami i normami politycznymi. Nie uchyla się przed krytyką, nie unika trudnych zagadnień, nie lęka się dalekosiężnych decyzji, nie boi się ocenić spuściznę społeczeństwa, które już odegrało swą rolę dziejową, i wybrać z tej spuścizny wszytko, co wartościowe i dobre, co może i co powinno być przeniesione do społeczeństwa nowego. Po dokładnym poznaniu przeszłości i obecniej sytuacji, nie waha się spojrzeć w świetle Ewangelii krytycznie na sens wolności i sprawiedliwości, i dodatnio ocenić te nowe formy społeczne i polityczne, które gwarantują istotną wolność i dostojeństwo człowieka. Interesuje go szczególnie istota człowieczeństwa. Co to jest człowiek? W czym tkwi jego posłannictwo? Który ustrój społeczny stoi najwierniej na straży spraw ludzkich?

Jesteśmy dopiero na początku, na progu dialogu. W naszych planach i programach kościelnych i świeckich powinno tkwić gorące pragnienie zrozumienia człowieka w świetle biblijnej wieści o zstąpieniu Boga w Jezusie Nazareńskim do najtajniejszych głębin ludzkiego bytu.

II

Dialog chrześcijan Wschodu i Zachodu, katolików, protestantów i prawosławnych musi być uzupełniony dialogiem z ludźmi tego świata. Musimy zrozumieć ich wiarę czy raczej niewiarę.

Coraz lepiej uświadamiamy sobie następstwa radykalnego zeświecczenia, nieuniknionego przenikania nauki i techniki do wszystkich dziedzin życia. Wybitni przedstawiciele Kościoła i teologii stwierdzają fakt, że człowiek dzisiejszy obchodzi się bez Boga, bez Jego łaski i pomocy, że sam ujął życie w swoje ręce i kreśli plany w zakresie kultury i polityki, ekonomii i dyplomacji tak, jak gdyby Boga wcale nie było.

Proces laicyzacji i technizacji życia będzie niewątpliwie postępować we wzmożonym tempie. We współczesnym społeczeństwie, bez różnicy ustroju społecznego i politycznego, człowiek staje się tylko małym kółkiem wielkiej maszyny. Chrześcijanin zachodni nie powinien ulegać iluzji, że po jego stronie jest lepsze zabezpieczenie wolności i dostojeństwa ludzkiego, niż we wschodnim społeczeństwie socjalistycznym czy komunistycznym Z drugiej strony— poważnie myślący socjalista, kierujący się zasadami marksizmu i leninizmu, coraz częściej natrafia na pytania dotyczące sensu życia i ludzkości, wewnętrznego ukształtowania człowieka w społeczeństwie socjalistycznym. Nie wystarcza mu ocena tylko na podstawie przesłanek ekonomiczno-społecznych, chociaż bardzo ważnych i doniosłych. Idzie dalej i pyta, jaki jest sens ludzkiego życia. Taka już jest dialektyka jego metody i spojrzenia.

Oto sens rzeczy, oto jądro dialogu. I tu właśnie człowiek wierzący powinien uświadomić sobie swoją solidarność i współudział z budowniczym jutra, ale jednocześnie postawić sobie pytanie, dlaczego budowniczy socjalistycznego społeczeństwa chce wyrugować ze swego myślenia i ze swych planów wszelkie motywy religijne, i dlaczego zajmuje nieraz bardzo ostre stanowisko wobec tradycyjnej wiary i Kościoła. Czy nie należałoby się zastanowić, czy przypadkiem to nie my dajemy mu do tego powód? Zastanówmy się nad tym, jak przekonać dzisiejszego człowieka, że w akcji budowania nowego społeczeństwa i nowego człowieka Ewangelia jest w dalszym ciągu mocą twórczą.

Stanisław HŁAWICZKA

Depersonalizacja życia

Używam słowa depersonalizacja za Mounier'em — twórcą personalizmu, którego książka pt. „Co to jest personalizm" [1]) pobudziła mnie do napisania tego artykułu. Marginesowo wspomina w niej autor o procesach depersonalizacji w życiu współczesnym. Rozumiem depersonalizację życia — i myślę, że Mounier też ją tak rozumie — jako usuwanie pierwiastka osobowego z życia, przy czym słowo „osobowy" używam w podobnym znaczeniu, jak mówi się o osobistym stosunku do kogoś i do czegoś — i o osobowości w przeciwieństwie do bezduszności, masowości, mechanizacji, automatyzacji. Proces depersonalizacji jest wyraźnym rysem współczesnego życia i ogarnia coraz to więcej jego odcinków.

Choć proces ten nosi cechy współczesności, to jednak początki jego sięgają do epoki Renesansu, kiedy to rozpoczęła się depersonalizacja obrazu świata. U schyłku wieków średnich człowiek — według wzorów biblijnych — patrzył jeszcze na świat jako na teren osobistej działalności Bożej. Stosunek jego do świata łączył się ściśle z jego stosunkiem do Stwórcy. Od czasu Renesansu zaczęto z obrazu świata usuwać rysy osobowe. Przyczynił się do tego rozkwit nauk przyrodniczych. Odkąd Newton wykazał, że planetami i księżycami rządzą te same prawa mechaniki, które kierują ruchem bąka i kuli naprężając sznurek w czasie ruchu obrotowego — coraz więcej umysłów zaczęło ogarniać przekonanie, że świat jest mechanizmem rządzonym przez nieubłagane siły przyrody. Z obrazu Stwórcy rządzącego światem, idealiści i panteiści wykreślili wszystkie rysy osobowe poza rozumem manifestującym się w przyrodzie[2]), a kształtującym życie jedynie przez prawa przyrody. Kiedy jeszcze Darwin wskazał na możliwość rozwinięcia się wyższych gatunków życia organicznego z niższych, wielu ludziom zdawało się, że już nie potrzebują „hipotezy Stwórcy". Rozwinął się obraz świata bez Stwórcy i bez duszy.

Równolegle do zmiany obrazu świata — zmieniał się i obraz człowieka, również w sensie depersonalizacji. Jeżeli człowiek rozwinął się z niższych gatunków, jest więc niczym innym, jak tworem przyrody uwarunkowanym prawami fizyki i chemii. Ciało ludzkie — to jakby zbiór urządzeń mechanicznych, cieplnych, optycznych, akustycznych i chemicznych — sterowanych przez układ nerwowy, w którym odbywają się przemiany elektro-chemiczne. Wszystko to — tak zaczęło się coraz powszechniej sądzić — odbywa się ze ścisłą koniecznością. Reakcje człowieka i zwierzęcia — jak wyjaśnił Pawłow — odbywają się automatycznie na podstawie mechanizmu fizjologicznego.

Wobec tego nie ma wolnej woli — taki wniosek się nasuwał. Schopenhauer pisał: „Człowiek co prawda może czynić, co chce, ale nie może chcieć tego, co by chciał..." — a setki tysięcy czytelników z zapałem przyjmowały tę tezę. Ale jeżeli człowiek jest automatem, to nie może odpowiadać za swe czyny.

Zaczęto zresztą, na potwierdzenie tezy o automatyźmie czynności człowieka, budować mechanizmy wykonujące różne czynności, które dotąd tylko człowiek wykonywał. Zaczęto konstruować lalki tańczące i śpiewające, roboty zastępujące człowieka w jego czynnościach fizycznych, wreszcie automaty sprawujące czynności umysłowe człowieka. Pascal zbudował maszynę do liczenia, Jevens maszynę do wyciągania pewnych wniosków logicznych. Rozwój elektroniki przyniósł maszyny rozwiązujące równania, różniczkujące i całkujące — nawet tłumaczące na języki obce. Automaty sterują dziś nie tylko ruchem poszczególnych maszyn, ale i całych fabryk, kontrolują przeróżne przebiegi produkcyjne i wykrywają błędy. W powieściach pisze się już nawet o robotach, które mogą się zakochać. Wizja człowieka-automatu — w gruncie rzeczy bezosobowego.

Za depersonalizacją obrazu świata i człowieka poszła i depersonalizacja stosunków ludzkich. Rzemieślnik średniowieczny miał osobisty stosunek do swych wytworów, kochał je. Robił je na zamówienie kogoś, kogo znał osobiście. Dziś robotnik stojący przy maszynie lub taśmie produkcyjnej często nawet nie wie, co wyrabia, w każdym razie nie wie, dla kogo to robi, i może nie spotka w życiu odbiorcy swych wyrobów. Rycerz średniowieczny potykał się z wrogiem całkiem osobiście. Pilot, który spuszczał bombę atomową na Hiroszimę, nie miał pojęcia, co robi i nie znał zupełnie ludzi, którzy mieli stać się ofiarami procesów wyzwolonych drobnych ruchem ręki. Kobiety i dzieci zatrudnione w przemyśle wojennym trzeciej Rzeszy, nie zdawały sobie sprawy, że wykonując części metalowe przyczyniają się do zbombardowania skupisk ludności cywilnej. Masowość, seryjność, mechanizacja i automatyzacja produkcji odbierają pracownikom osobisty stosunek do ich pracy.

W rodzinie zachodzą zmiany w podobnym kierunku. Zamiast atmosfery rodzinnej ze „Świerszcza za kominem" — atmosfera pomieszczenia telewizyjnego. Rodzice — wraz z dziećmi i ewentualnie gośćmi — godzinami siedzą przed skrzynką TV. Pozostaje im tylko wymiana komentarzy do tego, co widzieli i sły-

---

[1]) W tłumaczeniu polskim wydało w r. 1960 wydawnictwo „Znak".

[2]) Patrz Albert Einstein: „Mein Weltbild".

[3]) Pisze o tym „Urania", czasopismo polecone przez Ministerstwo Oświaty dla Liceów Ogólnokształcących.

[4]) Por. W. James: „Doświadczenia religijne", s. 64—65.

szeli. Masowość produkcji filmowej i telewizyjnej — i w ogóle kulturalnej — unifikuje coraz bardziej serca i umysły ludzkie, pozbawiając je coraz bardziej cech osobistych, indywidualnych. Wnet ludzie będą się wstydzili być sobą. Wstydzić się też będą coraz bardziej swych uczuć. Rozwój nauki i techniki przynosi ze sobą uwielbienie rozumu ludzkiego. Dla ludzi przeintelektualizowanych, uczucia stają się niepotrzebnym balastem. Wystarczy rozum i wola.

Do czego to wszystko zmierza? Do zaniku odpowiedzialności i pogrzebania braterstwa.

Czy proces depersonalizacji da się wstrzymać? Czy jest to proces nieodwracalny? Postaram się na to pytanie pokrótce odpowiedzieć.

1. W pojęciach dotyczących obrazu świata dadzą się zauważyć następujące systemy:

a) W kołach naukowych zaczyna się coraz częściej mówić o wieku świata, a więc i o jego początku.[3])

b) Ewolucjonizm przyniósł argumenty nie tylko przeciw, ale i za Stwórcą. Oto najważniejszy: w myśl teorii ewolucji w pewnym momencie historii ziemi pojawiło się po raz pierwszy życie psychiczne. Jeżeli życie organiczne powstało z nieorganicznego, to z początku musiało się ono rozwijać wyłącznie w sferze fizyko-chemicznej. Dziecinne byłoby wyobrażanie sobie elektronów i innych cząstek materii jako obdarzonych zdolnościami odbierania wrażeń. Wszak do tego potrzebny jest układ nerwowy. Musiało więc w pewnym momencie nastąpić spontaniczne wyłonienie się świata wrażeń i uczuć. Potrzebna więc „hipoteza Stwórcy".

c) Odkąd Heisenberg postawił zasadę nieokreśloności — koncepcja nieubłaganych praw przyrody została zachwiana w posadach. Prawa fizyki i chemii są tylko prawami statystycznymi i wyrażają tylko prawdopodobieństwo zdarzeń, a nie ich konieczność. Edington np. twierdzi, że nie jest wykluczone — choć mało prawdopodobne — że gotując wodę otrzymamy lód. Prawa ważne w makrokosmosie — nie są ważne w mikrokosmosie. Dają się stwierdzić luzy w prawidłowości zjawisk. Jest miejsce na kierownictwo Boże.

Jung Stilling, przyjaciel Goethego, który zetknąwszy się z ideami przyrodniczymi XVIII wieku odczuwał pewne trudności w wierze w Opatrzność Bożą, utwierdził się w tej wierze dzięki namacalnym doświadczeniom Bożego kierownictwa. I dziś człowek, który zdobędzie się na ryzyko wiary, czyni potem doświadczenia, które tę wiarę potwierdzają.

2. Jeśli chodzi o obraz człowieka — z jednej strony stwierdzenie luzów w prawach przyrody — z drugiej pozytywne doświadczenia realności praw duchowych i świata duchowego — uwalniają od wizji człowieka-automatu. Ciało ludzkie poddane kierownictwu instynktu samozachowawczego i instynktu gatunku — jest coprawda pewnym mechanizmem, ale człowiek może stwierdzić u siebie istnienie takiej sfery życia, która wykracza poza „zaczarowane koło" instynktu walki i gatunku. Człowiek może wartościować etycznie, może pragnąć prawdy, może pragnąć społeczności z drugimi i ze Stwórcą, i to nawet wbrew instynktowi samozachowawczemu. Człowiek posiada ducha. Ostatecznym dowodem na to są doświadczenia, które czyni, gdy otworzy siebie dla działania Ducha i kiedy Duch ten zacznie w nim działać i przetwarzać jego życie. Radość w Duchu Świętym[4]), pewność zbawienia, nadzieja wiecznego życia — to dowody rzeczywistości życia duchowego człowieka. Na tej płaszczyźnie leży możliwość repersonalizacji życia. Człowiek, który uwierzył w Stwórcę i otworzył siebie dla Jego woli i działania, staje się świadomym swej godności i odpowiedzialności oraz wartości każdej duszy ludzkiej. Człowiek taki może przyczynić się do personalizacji życia wokół siebie. Główną cechą takiego człowieka jest miłość (Schweitzer nazywa ją szacunkiem dla życia). Człowiek taki nie patrzy na drugich jako na konkurentów w walce o lepsze miejsce pod słońcem i lepsze dobra materialne, ale patrzy na nich jako na istoty powołane do bytu przez Boga, którym trzeba pomóc cieleśnie i duchowo. Takim jest właśnie Albert Schweitzer w swej pracy w Lambarene. Takim był Ghandi w swej działalności prawniczej i politycznej.

Ludzie tacy wytwarzają w swoim otoczeniu atmosferę braterstwa. Za najwartościowszy owoc swej działalności uważał Ghandi nie wyzwolenie Indii, lecz założenie społeczności będącej i spółdzielnią rolniczo-rzemieślniczo-przemysłową, i społecznością duchową. Dziennikarz angielski Brunton pisze o zakładzie przemysłowym, połączonym z osiedlem, w pewnej miejscowości w Indii — opartym na braterstwie. W zakładzie tym codziennie cała załoga zaczynała swą pracę od kwadransa duchowych rekolekcji.

Taką też była społeczność siostrzana diakonis w Miechowicach — założona przez Ewę Thiele v. Winkler, taką jest dziś społeczność bractwa w Taizé. Takim było bractwo Abbé Pierré'a w Paryżu, zajmujące się budową mieszkań dla bezdomnych.

Personalizm Mounier'a datuje się od 1929 r., ale fundamenty personalizmu założył budowniczy z Nazaretu, który powiedział: „Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy swej szkodę poniósł. Albo co w zamian da człowiek za duszę swoją?". On to ustalił na giełdzie wartości ludzkich bezcenną wartość duszy, kładąc życie swe — życie najpiękniejszego z ludzi — za grzeszników. On też jest Nadzieją świata.

RAFAŁ CZERNIŁŁOWICZ

RZYMSKI EKUMENIZM

Wypadki ostatnich dwudziestu lat wskazują wyraźnie, że druga połowa XX w. będzie okresem wielkich przemian wewnętrznych całego chrześcijaństwa, nie wyłączając oczywiście Kościoła rzymskiego. Owszem, bodaj największe zmiany nastąpią właśnie w łonie katolickim, i to zmiany największe od czasów Reformacji i kontrreformacji XVI w.

W pierwszej połowie bieżącego wieku zaczęły pojawiać się, zrazu nieśmiało, pierwsze przebłyski ekunizmu, aby w początkach drugiej połowy tego wieku wystąpić w całej swej mocy i sile. Celem tego ruchu jest nie tylko usunięcie w oczach wzmagającego się świata niechrześcijańskiego, islamu i hinduizmu z jednej, a marksizmu z drugiej strony, hańbiącej plamy rozerwania i poróżnienia wyznawców Chrystusa, ale też spotęgowanie roli chrześcijaństwa w kształtowaniu coraz bardziej laicyzującego się świata.

Myśl ekumeniczna stale rośnie i potężnieje, choć nie wszędzie w jednakowym tempie. Zrodziła się ona najwcześniej, bo już przed pierwszą wojną światową, w liczbowo najsłabszych, ale duchowo najruchliwszych i zdecentralizowanych Kościołach protestanckich. W prawosławiu pojawiła się po pierwszej wojnie światowej. Największy i najpotężniejszy ze wszystkich wyznań chrześcijańskich, rzymski katolicyzm, jeszcze za pontyfikatu Piusa XII obstawał przy nieprzejednanym stanowisku pokornego powrotu „heretyków" i „odszczepieńców" na łono jedynozbawczego Kościoła rzymskiego. Jednakże długi pontyfikat konserwatywnego i autokratycznego Piusa XII, ostro przeciwstawiającego się jakimkolwiek reformom, otworzył wreszcie wielu hierarchom katolickim oczy na fakt, że bez pewnych zmian w zagadnieniach społecznych, liturgicznych i prawnych się nie obejdzie.

Nie był to też przypadek, że po śmierci Piusa XII na stolicę Piotrową wyniesiony został właściwie dotąd szerzej nieznany patriarcha wenecki Angelo Giuseppe Roncalli (1881—1963), syn rolnika z okolic Bergamo na południowych stokach Alp. Wielkim życiowym sukcesem wiejskiego chłopa, było że skończył seminarium duchowne i został księdzem. Dla biednych ludzi, dla licznej rodziny to szczyt marzeń, bo przecież „kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie". Ale większym sukcesem w życiu młodego ks. Roncalli'ego było, że jego niepowszednie zdolności nie uszły uwadze biskupa Bergamo. Biskup Radini-Tedeschi to jeden z niewielu ówczesnych hierarchów katolickich, którzy poważniej zastanawiali się nad tym, co się wokół nich dzieje. Ks. Roncalli zostaje sekretarzem biskupa Radini-Tedeschi. Tak zaczyna się „kariera" młodego duchownego. Wcale nie tak błyskotliwa jak kariera jego poprzednika i następcy na stolcu Piotrowym. Roncalli nie posiadał po temu odpowiednich cech osobistych. Był typowym prowincjonalnym duchownym, jakich wielu. Po śmierci dobrodzieja, ks. Roncalli zapada gdzieś w głuchą prowincję jako kapelan wojskowy.

Kościół rzymski kierowany przez polityków i dyplomatów wyszedł z pierwszej wojny światowej dość niesławnie. Trzeba było radykalnych zmian. Szczególnie na „odszczepieńczym" i pogańskim" Wschodzie trzeba było pokazać inne oblicze rzymskiego katolicyzmu. Ktoś w Rzymie przypomniał sobie cichego, skromnego i „dobrego" Roncallie'go. Po odpowiednim przygotowaniu Roncalli zostaje mianowany delegatem w Bułgarii, potem w Turcji i wreszcie w Grecji. Z punktu widzenia polityki watykańskiej są to raczej pozycje trzeciorzędne, ale chodziło o to, aby prawosławnym i mahometanom pokazać taką twarz katolicką, jaką miał właśnie Roncalli. Nikt nie przypuszczał, że pobyt Roncalli'ego wśród prawosławnych i mahometan w znacznym stopniu ukształtuje jego osobowość.

Zdawało się, że Roncalli utonie w nowym środowisku, podobnie jak to było dotąd. Lecz pod koniec drugiej wojny światowej Kościół rzymski znalazł się w podobnej, jeżeli nie w jeszcze gorszej sytuacji, niż po pierwszej wojnie światowej. Sytuacja była krtyczna i niebezpieczna. Kościołowi trzeba było nie dyplomatów i ludzi rutyny pokroju Pacelli'ego, ale ludzi, którzy potrafiliby sercem a nie dyplomacją załatwiać konflikty. Tym razem sytuacja była szczególnie napięta na Zachodzie. Nuncjusz apostolski we Francji, Valeri, i szereg biskupów francuskich skompromitowali Watykan swą kolaboracją z rządem Petaina. Trzeba tu było człowieka zgoła innego typu. W 1944 r. dotychczasowy legat papieski w Grecji zostaje mianowany nuncjuszem apostolskim we Francji, a więc awansuje co najmniej o dwa stopnie naraz. Przecież szła o nim fama, że w Grecji i w Turcji stykał się z innowiercami, ba, że utrzymywał przyjazne stosunki z włoskimi antyfaszystowskimi emigrantami, socjalistami a nawet ateistami.

Roncalli nie zawiódł pokładanych w nim przez Kurię rzymską nadziei. Herriot wyraził się o nim, że to „człowiek aż nazbyt dobry". Wprawdzie po uciszeniu się hałasu powojennego Pius XII zamierzał rozpocząć ponownie ostrzejszy kurs polityczny, wymierzony przeciwko chwilowym eksperymentom i nowinkom, ale zasługi nuncjusza francuskiego były tak oczywiste, że chcąc nie chcąc trzeba je było uznać. W 1953 r. Roncalli zostaje mianowany kardynałem-patriarchą weneckim. Sam Roncalli rozumiał zapewne dobrze, że jest to nie tyle wyróżnienie, ile emerytura dla siedemdziesięcioletniego starca.

W pięć lat później umiera Pius XII. W conclave siedzieli jego ludzie, a zwolenników postępu i zmian

w Kościele było wśród nich niewielu. Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że niepodobna nadal prowadzić „pacelliowskiej" polityki. Ale kogo posadzić na tronie Piotrowym? Mediolański arcybiskup Montini już od dawna był uważany za opatrznościowego męża, cała rzecz tylko w tym, że nie był członkiem conclave. Pius XII nie bardzo mu ufał, nie mianował go kardynałem, a nawet przystęp do łoża umierającego papieża został mu wzbroniony! W takiej sytuacji nie było innego wyboru. Był tu tylko „aż nazbyt dobry człowiek", Roncalli. Kuria rzymska liczyła na to, że sędziwy starzec niedługo posiedzi na stolcu Piotrowym, że będzie to tylko „papież przejściowy". Nikt nie przypuszczał, że będzie to papież Soboru, papież koegzystencji, Jan XXIII. Oddźwierni „spiżowej bramy" przeliczyli się w swoich rachubach...

Już chociażby samo imię nowego papieża! Dlaczego nowy papież przyjmuje to imię, jakkolwiek nie pojawiało się ono w spisie papieży już od 500 lat? I dlaczego akurat XXIII?! Przecież był już taki! Czyżby nowy „pontifex maximus" Kościoła rzymskiego chciał „odczynić" niesławne czyny Baltazara Cossy, byłego pirata morskiego i soborowego antypapieża — Jana XXIII, który w niemałej mierze przyczynił się do śmierci męczeńskiej na stosie jednego z głównych prekursorów Reformacji, Jana Husa? Przecież takiej okazji w przeszłości było już więcej, a nikt o tym dotychczas nie pomyślał, a splugawionych imion papieskich też nie brakło. Chyba ten wzgląd nie odgrywał tu roli. Symbolika i wymowa imienia nowego papieża tkwi w czym innym.

Sołowjew w swoim „Antychryście" wspomina o starej chiliastyczno-mistycznej legendzie, która apostoła Piotra łączy z katolicyzmem, uczuciowego i mistycyzującego Jana z prawosławiem, a „racjonalistycznego" Pawła z protestantyzmem. Czyżby „Jan" miał być wyrazem dążeń nowego papieża do nawiązania stosunków z prawosławiem, zerwanych od 500 lat? Jeżeli przy wyborze imienia nie odgrywał ten wzgląd żadnej roli, to wprawdzie krótki, ale jakże przełomowy pontyfikat Jana XXIII był bezsprzecznym symbolem biblijnego apostoła miłości, w definitywnym zerwaniu z dotychczasową polityką kontrreformacji i rozpoczęciu w dziejach Kościoła rzymskiego „nowej orientacji", „koegzystencji" nie tylko z „braćmi odłączonymi", ale nawet z ludźmi dobrej woli, czyli powiedzmy otwarcie z marksistami. W każdym razie nawet w sferach hierarchii rodziły się obawy, że nowy papież będzie „protestanckim" czy nawet „komunistycznym" papieżem, jakkolwiek Janowi XXIII było do jednego i do drugiego tak daleko, jak ziemi do słońca.

Półwiekowe doświadczenia, zebrane w czasie współżycia legata papieskiego z odszczepieńcami i mahometanami, nie poszły na marne. Jak nie mogły być stłumione doświadczenia ubogiego dzieciństwa i trudnej młodości we współżyciu z ludźmi ubogimi i prostymi, tak nie mogły być zatarte wrażenia nuncjusza francuskiego. Dla charakterystyki papieża Jana XXIII warto wspomnieć dwa, nieledwie anegdotyczne i niezmiernie „ciepłe", ale dla kurii rzymskiej wielce kłopotliwe, wydarzenia. Jan XXIII wbrew przyjętemu ceremoniałowi przed bazyliką św. Piotra zstępował z sedia gestatoria i wchodził do świątyni pieszo. Na zapytanie dlaczego to robi, odparł z właściwym sobie humorem, że zawsze na stopniach świątyni widzi w tłumie pobożnych matkę, która ze zdziwieniem patrzy na niego w górę i mówi z wyrzutem: „Józiu, co ty tam robisz?". Krótko przed śmiercią ktoś z otoczenia papieża nazwał Chruszczowa cynikiem. Papież kategorycznie przeciwko temu zaprotestował, wyjaśniając, że ludzie z wyższych sfer nie rozumieją premiera sowieckiego, ale on, wiejski chłopak, doskonale Chruszczowa rozumie.

Pełen wymowy jest fakt, że z powodu zgonu papieża Jana XXIII wyrazili swój żal luteranie, reformowani, anglikanie, naczelny rabin jerozolimski, buddyści i zdeklarowani ateiści, jak Nehru, Sukarno, Togliatti, Fidel Castro i Chruszczow. Wszyscy mieli wielki szacunek dla tego, który z wyżyn stolicy Piotrowej nie zawahał się rozpocząć w uśpionym od wieków Kościele rzymskim okresu „nowej orientacji", który nie bał się wyciągnąć do „braci odłączonych" dłoni pojednania, a do wszystkich „ludzi dobrej woli" skierować encyklikę „Pacem in terris". Po tym, co zrobił Jan XXIII nie ma już dla Kościoła rzymskiego powrotu na stare szańce. Chce, czy nie chce, musi iść naprzód drogą „ekumenizmu" i „aggiornamento", drogą wewnętrznej odnowy i rewizji dotychczasowych swoich pozycji. Po Janie XXIII musiał przyjść Paweł VI.

Biblijny Paweł był apostołem narodów. Osoba jego stała się we wczesnym chrześcijaństwie symbolem przełamania murów „zamkniętego Kościoła", rozbicia tam ciasnego rabinicznego tradycjonalizmu i synagogalnego sekciarskiego ekskluzywizmu. Apostoł Paweł odważnie poszedł różnowiercom i „pogańskiemu" światu zwiastować Chrystusa. U Jana przemawiało serce, mistyczna i wszystko przebaczająca miłość. Paweł to teolog, chłodno rozważający sprawy. Ale nie Jan, lecz Paweł wniósł do wczesnego chrześcijaństwa element uniwersalizmu i ekumenizmu, wlawszy w nie nową moc. Postawił je też przed trudnym zadaniem zdobycia świata.

Czy historia biblijna powtórzy się w XX w.? Co przyniesie pontyfikat Pawła VI? Czy nowy Paweł pójdzie w ślady swojego wielkiego imiennika i po linii swojego wielkiego poprzednika, czy też może będzie go korygować i modyfikować? Nie należy to tylko od niego. Papież przebywa w Watykanie, a wejścia do niego strzegą oddźwierni spiżowej bramy, rzymska Kuria.

Inauguracja w Akademii Teologicznej w Chylicach

Chrześcijańska Akademia Teologiczna w Chylicach koło Warszawy wkroczyła w dziesiąty rok swej egzystencji jako samodzielna uczelnia. Przejęła ona tradycję i cały zespół pracowników naukowych dawnego Wydziału Teologii Ewangelickiej Uniwersytetu Warszawskiego i nabrała charakteru w pełni ekumenicznego przez utworzenie — obok sekcji ewangelickiej — sekcji starokatolickiej i prawosławnej.

Pod przewodnictwem rektora Akademii, ks. prof. Wiktora NIEMCZYKA, w dniu 5 października odbyła się uroczystość inauguracji jubileuszowego roku akademickiego. Audytorium szczelnie wypełnili zaproszeni goście, pracownicy naukowi i administracyjni, studenci starszych lat i świeżo przyjęci kandydaci do immatrykulacji.

Po przemówieniu rektora i przedstawiciela młodzieży studiującej, miejsce na katedrze zajął ks. prof. Karol WOLFRAM, który wygłosił wykład inauguracyjny pt. „Albert Schweitzer — wielka postać teologa i humanisty". Profesor potrafił wzbudzić u słuchaczy wielkie zainteresowanie swym wykładem. Przedstawił on postać Schweitzera, który w styczniu przyszłego roku kończy 90 lat życia, jako jednego z najwybitniejszych ludzi epoki. Dużą część swego wykładu poświęcił autor omówieniu motywów, które skłoniły świetnie zapowiadającego się teologa, uczonego i muzyka, do wybrania tak szczególnej drogi, jaką jest jego praca w Lambarene. Profesor uzasadnił w sposób przekonywujący tezę, że Albert Schweitzer należy do najwybitniejszych ludzi epoki, w przeciwieństwie do wysuwanych twierdzeń, odmawiających mu jakiegokolwiek geniuszu, a określających go jako dziwaka.

Na zakończenie uroczystości rektor dokonał uroczystego aktu immatrykulacji przyjętej na studia teologiczne młodzieży. Studenci sekcjami podchodzili do stołu prezydialnego, składali ślubowanie akademickie, i kolejno podając rękę rektorowi, stawali się pełnoprawnymi członkami braci akademickiej.

KOMUNIKATY LOKALNE

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Parafii Ewangelicko-Reformowanej w Warszawie

1.11.64. XXIII niedziela po Trójcy Św.
Nabożeństwo z Wieczerzą Pańską, godz. 11.00
— ks. Bogdan Tranda

8.11.64. XXIV niedziela po Trójcy Św.
Nabożeństwo, godz. 11.00
— ks. Władysław Paschalis

15.11.64. XXV niedziela po Trójcy Św.
Nabożeństwo, godz. 11.00
— ks. Jan Niewieczerzał

22.11.64. XXVI niedziela po Trójcy Św.
Nabożeństwo, godz. 11.00
— ks. Bogdan Tranda

29.11.64. I niedziela Adwentu
Nabożeństwo, godz. 11.00
— ks. Jan Niewieczerzał

1.12.64. W t o r e k
Nabożeństwo adwentowe, godz. 18.00
— ks. Bogdan Tranda

Parafia Ewangel.-Augsburska św. Trójcy (Plac Małachowskiego)

1.11.64. XXIII niedz. po Trójcy Św.
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — naboż. z Kom. Św. —
Ks. Wł. Nast

8.11.64. XXIV niedz. po Trójcy Św.
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — naboż. z Kom. Św. —
Ks. R. Trenkler

15.11.64. XXV niedz. po Trójcy Św.
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — naboż. z Kom. Św. —
Ks. Wł. Nast

22.11.64. XXVI niedz. po Trójcy Św.
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — naboż. z Kom. Św. —
Ks. R. Trenkler

29.11.64. I niedz. Adwentu
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — naboż. z Kom. Św. —
Ks. R. Trenkler

Nabożeństwa adwentowe. W okresie Adwentu odprawiane będą w kościele świętej Trójcy w każdy czwartek o godz. 18 liturgiczne nabożeństwa adwentowe.

UWAGI REDAKCJI. Poglądy autorów podpisujących się pod artykułami nie zawsze pokrywają się ze stanowiskiem Redakcji. Wszystkich współpracowników uprasza się o nadsyłanie artykułów w dwu egzemplarzach z interlinią i marginesem, dokładnie poprawionych. Maszynopisów nie zamówionych artykułów, publikowanych jak i nie publikowanych, Redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL. **REDAKCJA I ADMINISTRACJA:** Warszawa, ul. Świerczewskiego 76a, tel. 31-23-83. **REDAGUJE KOLEGIUM:** redaktor naczelny — ks. **Jan Niewieczerzał**, zastępca redaktora naczelnego ks. **Ryszard Trenkler. PRENUMERATA:** rocznie 48 zł, półrocznie 24 zł, kwartalnie 12 zł, numer pojedyńczy 4 zł. **Konto PKO** Warszawa — 153-7-905-005. Do nabycia również we wszystkich placówkach Kościoła.

Zakł. Graf. RSW „Prasa", W-wa Smolna 12. Nakł. 2000. Obj. 2 ark. druk. Zam. 1666. Z-41.